№ 13. 27. Marca 1893

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kwestja szląska

napisał

Wojciech Szukiewicz.

(Dokończenie.)

Pewne pojęcia w samym ludzie tkwiące i bardzo wśród niego rozpowszechnione ogromnie germanizacji sprzyjają. Szlązacy do dziś dnia wcale nie posiadają tego poczucia, że są Polakami. Szlązak zapytany kim jest: Polakiem czy Niemcem? odpowiada bez namysłu, że ani jednym ani drugim, tylko po prostu Szlązakiem, który nie mówi ani po polsku, ani po niemiecku jeno po szlązku, albo raczej po »naszemu«. Wiedzą oni coś o Polsce i o Polakach, ale się sami za nich nie uważają. Istotnie cała Polska tak ich od dłuższego już czasu ignoruje, tak się obojętnie wobec nich zachowuje, że zaprawdę wcale nie należy się dziwić Szlązakom, wśród których zresztą jaki taki ruch narodowy datuje się dopiero od niedawna, bo od 1848 r. Czterdzieści kilka lat w życiu narodu czy społeczeństwa tak jeszcze jak Szlązacy młodego, to mała chwila, od której wielu rzeczy spodziewać się nie można. Ponadto włościanin szlązki od dawna do dziś dnia widzi, że każdy co nosi surdut, jeździ powozem, wygodnie mieszka i większy lub mniejszy posiada majątek, czyli przedstawia większy dobrobyt, wyższą kulturę, jest Niemcem; wskutek tego lud oświatę utożsamia z niemieckością a uczoność z posiadaniem języka niemieckiego. Większość tedy posyła dzieci do szkoły po to jedynie, aby sobie mowę niemiecką przyswoiły. Nie małą a nawet powiedziałbym wielką rolę odgrywa ten czynnik, że Niemcy, stanowiący klasę tak zwanych »pracodawców«, przyjmują do służby tych jedynie, którzy znają ich język i chętnie się nim posługują. W ten sposób żywioł giermański zyskuje wpływ potężny i do zwalczenia trudny.

Przy takim porządku rzeczy wytwarza się cały legjon odszczepieńców i renegatów, którzy za marnych trzydzieści srebrników albo garść stęchłej soczewicy zapierają się polskości i mowy ojczystej. Poniżej będziemy mieli sposobność przyjrzeć się całym klasom społecznym, ulegającym demoralizacji. Naturalnie wina za to spada nie na biednych Polaków, boć każdy żyć musi i to z liczną nieraz rodziną, lecz na Niemców, szerzących tę wstrętną zarazę z całą świadomością i konsekwencją. Równouprawnienie Polaków i Niemców usunęłoby już wiele złego; lecz sami Szlązacy bez pomocy zewnętrznej nigdy tego nie osiągną, bo w zbyt niekorzystnych znajdują się warunkach. Wyczekują oni ratunku od współrodaków z Galicji, zwłaszcza zaś od naszej reprezentacji w Radzie państwa, lecz jak dotychczas napróżno. Stosunek nasz do Szląska jest zaiste ciężkim grzechem wobec narodu całego. Zasklepieni w sztucznych granicach administracyjnych, nie wybiegamy po za nie myślą nawet. Społeczeństwo nasze nie interesuje się wcale losem Szlązaków, nie zna ich spraw, nie wspiera ich w ciężkiej walce z nawałą giermańską. Nie zrozumiała to doprawdy obojętność zwłaszcza w położeniu naszego narodu. Nasza reprezentacja parlamentarna, szanowne Koło polskie a raczej większość jego, zapewne z wyższej (a może najwyższej) racji stanu, stoi na stanowisku prowincjonalnem a nie narodowem, zaniedbując jedno z najpierwszych swoich zadań. Chociaż Koło polskie nie zwykło sobie wiele robić z głosu opinji publicznej i nawoływań społeczeństwa, to jednak obowiązkiem naszym jest postawić kwestję szląską na porządku dziennym i dążyć do jej pomyślnego dla nas rozwiązania. Weźmy sobie za przykład Czechów, łamiących energicznie sztuczne granice administracyjne i stojących na gruncie etnograficznym. Dla nich nie tylko ci są Czechami, którzy zamieszkują właściwe Królestwo czeskie. Widzą oni swoich współbraci i na Morawie i na Szląsku i wszędzie, gdzie tylko rozbrzmiewa mowa czeska. Odnajdują się oni, jednoczą, wspierają i olbrzymie osiągają rezultaty. To jest jedyna droga do rozwoju i postępu narodowego. Miejmyż odwagę zdobyć się na radykalizm w jednym przynajmniej kierunku — narodowym! Dochodźmy

śmiało słusznych praw naszych, upominajmy się o nie, walczmy i... zwyciężajmy jak Czesi. Powinniśmy dążyć do zniesienia sztucznej granicy pomiędzy Galicją a wschodnią, polską częścią Szląska austrjackiego i domagać się połączenia nas w jedną całość administracyjną na podstawie etnograficznej czy narodowej. Zysk będzie obopólny, wzmożemy się na siłach obustronnie, poczujemy się od razu mocniejsi, zdejmiemy z Szlązaków gniotące ich jarzmo giermanizacji i wzrośniemy w liczbę, wskutek czego nasz głos będzie poważniejszy i więcej zaciąży na szali wag rządowych. Ten radykalnie narodowy program może się nie podobać Niemcom austrjackim, ale zyska zapewne uznanie sfer najwyższych, a zwłaszcza korony, boć zasadniczym kitem, spajającym tak złożony organizm państwowy Austro-Węgier, a przynajmniej Przedlitawji, musi być jak najswobodniejszy rozwój poszczególnych narodowości.

Nasz radykalny ruch narodowy, obejmujący Galicję i Szląsk, opierający się w zupełności na obowiązującej konstytucji, będzie ruchem legalnym i nietylko dla nas, ale i dla państwa wysoce korzystnym. Postawiwszy taki program posuniemy swoję sprawę narodową bardzo naprzód. Zyskanie Szląska będzie pod każdym względem korzystne. Kraj to bogaty, przemysłowy, rolnictwo stoi wysoko, lud zamożny i względnie do naszego oświecony, słowem Galicja zyskałaby nie tylko terytorjalnie, a my jako Polacy nie tylko liczebnie. Musimy zaś rozpocząć od zobopólnego poznania się, to prima conditio, sine qua non. Zasada, każdą poprawę trzeba zaczynać od siebie samego, byłą pobudką do wycieczki na Szląsk austrjacki, z której sprawę chcę w ten sposób zdać przed czytającą publicznością galicyjską. Postaram się krótko ale wiernie i dokładnie zapoznać ze stanem spraw na Szląsku w nadziei, iż wszelkie mimowolne usterki będą mi wybaczone, a za to poruszona tu przezemnie myśl zostanie przychylnie przyjęta i nada kwestji szląskiej cechę aktualności!..

W jakuckiej jurcie.

(Ciąg dalszy.)

— Zacznę bez wstępu, panie dobrodzieju i w ogóle mówić będę, co myślę, co uczucie podpowie. Sądzę, że to może nawet dodatnio wpłynąć na moje opowiadanie. Lepiej dać wodze uczuciom, niż opowiadać po kronikarsku...

O mem dzieciństwie, wychowaniu domowem, o pobycie w szkole OO. Pijarów, o życiu studenckiem w Heidelbergu, mówić nie będę. Znane to rzeczy i nic do nich nowego dodać nie potrafię. O najbliższej rodzinie też by mówić nie należało: niemniej znane to każdemu Polakowi rzeczy. Jeżeli jednak wspominam mimochodem o tem, to dlatego chyba, by zaznaczyć pewne osobliwości mojej rodziny. Ojciec mój, dosyć majętny szlachcic, poległ podczas powstania 31. r., na kilka miesięcy przed mem pojawieniem się na świat boży. Matka, ubóstwiająca męża, wierząca weń jak w proroka, modląca się zań, nie zważając na bardzo młodociane swe lata, w powtórne związki nie wstąpiła i całe swe życie małemu Stasiowi poświęciła. Że byłem rozpieszczonym tak, że dopiero szkoła OO. Pijarów swym ostrym rygorem była w stanie ukrócić moje krnąbrne wybryki — to jasne samo przez się. Od matki przejąłem jedno — co wszyscy od naszych matron przejmujemy — gorącą miłość kraju, uwielbienie dla jego bohaterów, a w ich liczbie dla mego ojca. Te uczucia nigdy we mnie nie ostygały, owszem — rosły niejako. Dotąd pamiętam te chwile, jakieśmy we dwoje z matką na grobie ojca spędzali, jakeśmy się przed nim zwierzali z marzeń wyśnionych, z rojeń o przyszłości, i jak z wiarą w duszy, z wezbranem w sercu uczuciem, zawsze powracali stamtąd. Dziwnem się panu wyda, jeżeli powiem, że ja już po ukończeniu studjów uniwersyteckich, mając już z jakie lat trzydzieści, tu, na grobie ojca całe godziny spędzałem, marząc o tem, jak wkrótce dobędę pozostałej po nim w spuściznie szabli, szeptem opowiadałem mu o najmniejszych oznakach życia i ruchu i jak w obłędzie jakim wyczekiwałem odeń znaku, że już czas...

A w stolicy tymczasem wypadki przyjmowały coraz wyraźniejszy charakter, a wraz z tem zarzewie pożogi coraz bardziej i prowincję zalewało. Promienie tego ognia stopniowo, powoli, skrzepłe rozgrzewały serca, chłodne umysły rozpalały.. W okolicy naszej zapanowała cisza, okropna cisza, grzmoty i pioruny zwiastująca. Zabawy, polowania, zwykłe odwiedziny nawet, ustały zupełnie. Głuche wieści falowały w powietrzu, przebiegając z dworka do dworka. Czasami żyd-pachciarz, z ostrożnością obejrzawszy się, czy w pobliżu kto go podpatrzyć nie może, wsuwał ci w rękę brudny jakiś skrawek papieru, na którym ołówkiem, a niekiedy węglem, czytałeś wiadomość o stoczonej potyczce, o zwycięstwie lub klęsce, o ilości rannych, zabitych... Niekiedy znowu kramarz, wędrowny-węgier mówił ci, że pan Jacenty już pojechał, pan Jan jutro jedzie, a pan Stefan poległ..

Na zawsze wryła mi się w pamięć ta noc, kiedym po raz ostatni uściskał matkę i dosiadł konia. Księżyc świecił z taką siłą, jakby rozwiać pragnął mrok, co w duszy matki, żegnającej jedynaka syna, zapanował. Podtrzymując matkę, wspartą na mojem ramieniu, powoli, bezwiednie niemal skierowałem kroki w stronę mogiły ojca. Szliśmy w milczeniu. Cisza panowała taka, że zdawało mi się, iż bicie serca matki słyszę. Gdyśmy stanęli u grobu, kolana ugięły się same. Klękliśmy oboje. Co się ze mną działo w owej chwili — wypowiedzieć nie potrafię. Ból rozstania z matką mieszał się z radością z powodu urzeczywistnienia wypieszczonych marzeń, nadzieja na powtórne widzenie się z nią splatała

się z marzeniem o bohaterskiej śmierci na polu walki, albo na rusztowaniu. Krótko mówiąc: uczucia syna walczyły, to znów zlewały się i splatały z uczuciami obywatela, obywatela-polaka.

Ileśmy czasu spędzili tu nad grobem — nie wiem. Nareszcie matka podniosła się z kolan. Była blada. Księżyc, jak gdyby pragnąc jeszcze bardziej wyryć rysy jej w mej pamięci, cały blask swój na jej twarzy skupił.

— Czas, Stasiu! wyrzekła szeptem.

Wzięła mnie w swe objęcia i długo, długo do piersi przyciskała.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Niech cię Bóg ma w swojej opiece! Idź, chłopcze! O mnie się nie martw! Jam już stara.. Nie zobaczymy się tu, to Bóg nam na tamtym świecie zobaczyć się pozwoli. Idź, chłopcze i umrzej, jeżeli trzeba! Pamiętaj na Ojczyznę, na ojca i na mnie. Idź!...

Ubóstwiałem ją w owej chwili. Ani jedna łza nie zwilżyła jej powiek. Głos nie drgnął ani na chwilę.

Powróciliśmy do domu. Przed gankiem czekał na mnie wierzchowiec. Weszła jeszcze na chwilę do domu i powróciwszy niebawem przepasała mię szablą ojcowską, a na szyję zawiesiła złoty medaljon, znaleziony na trupie ojca. Na medaljonie tym... A zresztą mogę go panu pokazać, noszę go zawsze przy sobie...

Spojrzałem na medaljon. Czas nie starł napisu, który dotąd na nim błyszczy:

Honor i sława są po naszej stronie,
Słodko jest umrzeć w Ojczyzny obronie!

. . . .

Wspomnienie tego rozstania z matką ciężkiem było dla doktora przejściem. Przez długi czas siedział w milczeniu z pochyloną głową, z oczyma utkwionemi w podłogę. Pojmowałem stan jego duszy, to też milczenia jego przerwać nie śmiałem. Po upływie pewnego czasu opanował jednak wzruszenie i przeniósłszy wzrok z podłogi na gorejące na kominku drwa, nagle zapytał:

— Czytałeś pan Garszyna; „Cztery dni na polu walki?"

Zdziwiony tak nagłem przejściem, gubiąc się w domysłach, w jaki sposób mógł się skojarzyć w jego głowie ten utwór z dopiero co usłyszanem opowiadaniem, kiwnięciem głowy dałem potwierdzającą odpowiedź.

— Pamiętasz pan myśl, a raczej niezbitą prawdę, przezeń wypowiedzianą, że człowiek idąc w bój, pamięta o tem, że **własną** krew przelewać będzie za sprawę, w którą wierzy, nie pomnąc o tem, że przelewać mu również wypadnie krew **cudzą**, niekiedy Bogu ducha winnych ludzi.

Odpowiedź moja znowu była potwierdzającą.

— Toż samo i z nami było, panie dobrodzieju! „Słodko jest zginąć w Ojczyzny obronie!" *Dulce et decorum est pro patria mori!* — o tem pamiętaliśmy wszyscy! Ale któż z nas pamiętał o tem, że jeżeli ma wyobraźnię bujną, a nerwy wrażliwe, zamordowany wróg, jak zmora, przez całe życie potem prześladować cię jeszcze będzie! Tak było i ze mną. Zaledwie kilka wiorst odjechałem od domu, a już zupełnie pochłonęły mię myśli o mych przyszłych bohaterskich czynach. O świcie dopiero dotarłem do oddziału, do którego miałem się przyłączyć. Przyjęto mię, jak najpożądańszego z gości; w oddziale tym dotąd nie było lekarza. Pan Wojciech, naczelnik oddziału, z zadowoleniem siwego podkręcając wąsa, zobaczywszy mię, krzyknął:

— A witaj-że nam, panie Stanisławie! Żydzi mesjasza tak nie wyglądają, jak my ciebie.. Oho! Teraz nasze szeregi już nie tak rzednieć będą: lada ranka i o jednego żołnierza mniej, bo i jakże tu, mocium dzieju, wlec za sobą rannych!...

Już miał mię pożegnać, gdy pistolet i szabla, którą mnie matka przepasała, rzuciły mu się w oczy.

— A cacka te — rzekł wskazując na broń — i innemu się przydadzą. Z pocałowaniem ręki, mocium dzieju, każdy taką broń przyjmie!

— Jakto! — zapytałem zdziwiony. — A ja?

— Cha! cha! cha! Toć nie szablą chyba, mocium dzieju, myślisz operować ludzi!...

Zacząłem miarkować, co się święci i ciężki kamień padł mi na piersi. Kiedy inni krew swą za Ojczyznę przelewać będą — myślałem — ja z odległości tylko będę się przyglądał, a potem pocieszenia szukać będę w tem, że będę rannych pielęgnował. Z żalu i rozdrażnienia na płacz mi się zbierało. Przemogłem się jednak i gorąco panu Wojciechowi przekładać począłem, że jedno drugiemu nie przeszkadza, że po spełnieniu obowiązku żołnierza, obowiązki lekarza nic mi nie przeszkodzi spełniać.

Pan Wojciech zmiękł... Czy argumenty moje przemówiły mu do przekonania, czy też zrozumiał stan mej duszy — nie wiem — dość, że zgodził się ze mną.

— Ha! cóż robić? A szkoda! Jako lekarz mniej byś się narażał, a więcej mógłbyś korzyści przynieść. Ale cóż, mocium dzieju, uparty, jak z przeproszeniem kozieł, to i cóż robić?...

Rozmowa nasza skończyła się na tem, a trzy dni potem już swego uporu żałowałem...

Był chłodny, ale jasny dzień. Pan Wojciech wstał o świcie i to temu, to owemu dawał jakieś dyspozycje, chodził, medytował, nucąc od czasu do czasu coś wesoło pod nosem. Czasami oczy wlepiwszy w górujący nad doliną pagórek, mruczał coś do siebie. Przechodząc koło niego, usłyszałem słowa: „będzie gra!... będzie gra!" i domyśliłem się, o co idzie. Po niejakim czasie powrócili wysłani na zwiady, trąbka zagrała, pan Wojciech, dosiadując konia, wrzasnął: „do szeregu! baczność!", a gdy stanęliśmy w porządku, zwrócił się do nas twarzą, szpadą zrobił nad oddziałem znak krzyża i na pagórek nas poprowadził.

Myślałem, że serce mi z piersi wyskoczy, tak kołatało się radośnie...

Po pewnym czasie z pagórka ujrzeliśmy tumany kurzu.

— Plackiem! — krzyknął pan Wojciech.

Przypadliśmy do ziemi; zdala nic nie zdradzało naszej obecności. A z doliny dochodziły nas odgłosy żołnierskiego kroku, szczęk szabel, zgrzyt bagnetów.

— Ognia! pal! — wrzasnął naczelnik i szereg za szeregiem wyrzucił w stronę zbliżających się strumienie śmierć niosących kul. Ktoś jęknął, ktoś z rozpaczą imię Boga wymówił.

— Za mną! Naprzód! — usłyszałem znów rozkaz...

Rzuciliśmy się za nim, jak opętani. Gdyśmy już o tyle do nieprzyjaciela się zbliżyli, że ręczną można było walczyć bronią, wyciągnąłem w biegu szablę ojcowską z pochwy. Przedemną stał młody jeszcze zupełnie, z rumieńcem na świeżej twarzyczce, z błyszczącemi oczyma, oficer; mówił coś z zapałem do wahających się żołnierzy, przekonywał, do walki zachęcał.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, oburącz ciężką szablę w górę uniosłem i z całej siły nieprzyjaciela nią ugodziłem. Zachwiał się, szpadę z rąk wypuścił, obydwiema rękami kurczowo przez chwilę za powietrze chwytał i runął ciężko na ziemię, z twarzą, krwią zalaną. Dopiero na widok tej krwi powróciłem do przytomności. Zapomniałem o wszystkiem, pamiętając tylko jedno, że oto tu, na ziemi, leży zalany krwią człowiek — dziecko prawie — przezemnie zabity. Jakież okropne to uczucie! Nie zważając na świst kul, przypadłem do tego młodego ciała i z płaczem niemal do życia przywoływać zacząłem... Własnej krwi bym nie poskąpił, byle je na nowo do życia wskrzesić.

Napróżno! Jeszcze raz zwarte odemknął powieki, z bólem jakimś, a może i wyrzutem, spojrzał na mnie i, jak mi się wydało — moze to zresztą była halucynacja, z imieniem matki na ustach skonał...

Odtąd już rozumiałem, co znaczy zabić człowieka. Wesołość, gorączka czynu, zapał, wszystko znikło, wyrugowane z piersi przez to okropne wspomnienie... Gorycz, rozczarowanie, rozpacz, opanowały mię zupełnie. Wtedy dopiero po raz pierwszy pojąłem, jak wzniosłym jest zawód lekarza, jak szczytnem jest posłannictwo przywracania ludzi do życia... (Dok. n.)

Żydzi o kwestji żydowskiej.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Uwagi swe rozpoczyna p. Chasin od podkreślenia dość grubego nieporozumienia, na jakiem opiera się postawienie kwestji żydowskiej w Rosji. Judofile rosyjscy, piszący po gazetach, wydający książki, tak czy inaczej reprezentujący opinię publiczną w sprawie żydowskiej, zdaniem p. Chasina „wyszli w przeważnej części z pośród burżuazji żydowskiej, przejęci są jej interesami i ze wszystkich objawów życia żydowskiego zdolni byli odróżnić tylko narzekania kupców, pożerających się wzajemnie w granicach dozwolonych dla osiedlania się żydów, narzekania niedoszłych prokuratorów i oficerów, profesorów i tytularnych radców, którzy dlatego jedynie nie stali się prokuratorami, oficerami, profesorami i tytularnymi radcami, że mieli to nieszczęście urodzić się żydami". Trzeba było dopiero rosyjskich badaczy, jak Subbotina, Pieskowskiego i innych, by formalnie „odkryć" masę żydowską, robotniczą, „proletarjat żydowski, przedstawiający jaskrawy obraz ogromnej pracy fizycznej i równie ogromnego wyzyskiwania tej pracy żydowskiej przez samychże żydów".

Judofile rosyjscy mają tylko jedno lekarstwo na tę ogromną chorobę — sprawiedliwe zresztą domaganie się zupełnego równouprawnienia żydów z resztą ludności. „Jakim sposobem równouprawniony żydowski proletarjusz, rozporządzający tylko swą „nie do uwierzenia tanią" siłą roboczą, potrafi podnieść się fizycznie i umysłowo, kto mu w tem pomoże i czy równouprawniony żydowski chlebodawca nie będzie wobec niego takim samym wyzyskiwaczem, jak obecnie, to są kwestje, któremi publicystyka żydowska w Rosji wcale się nie zajmuje."

Wobec tego autor zadaje sobie pytanie na pozór paradoksalne: „czy rzeczywiście w Europie zachodniej równouprawnienie okazało się zbawiennem dla mas żydowskich?" By odpowiedzieć na to pytanie, autor rzuca okiem w przeszłość. „Jednym z najcharakterystyczniejszych rysów w dziejach równouprawnienia żydowskiego na zachodzie Europy jest ta okoliczność, że każdy absolutny lub nawet silnie konserwatywny rząd w takiej samej mierze sprzeciwiał się prawnej emancypacji żydów, w jakiej walczył przeciw wszelkim wolnościowym żądaniom ludności. Kwestja żydowska w tym względzie stała na równi z kwestjami o politycznej niepodległości, o ograniczeniu absolutyzmu, o wolności myśli, słowa i sumienia. Monarchowie i rządy konserwatywne końca XVIII. i początku XIX. wieku czasami lubili zajmować się „poprawą stanu żydów", zwoływali komisje, wypytywali się rzeczoznawców, znosili jedno lub drugie z niezliczonych ograniczeń praw żydowskich, odnawiali ten lub ów z nielicznych przywilejów żydowskich. Lecz pełną emancypację narodu żydowskiego trzeba było wydrzeć im z rąk razem z wydarciem im władzy absolutnej."

„Rząd rewolucyjny Kromwela zrobił pierwsze kroki ku emancypacji żydów w Anglji. Żydzi niederlandzcy uzyskali równoprawność wówczas dopiero, gdy Niederlandy uwolniły się od despotyzmu hiszpańskiego. Uwolnienie północnej Ameryki z pod władzy Anglji przyniosło równoprawność żydom amerykańskim. We Francji jeszcze za panowania Ludwika XVI. radzono długo „o poprawie bytu żydów", o środkach „zrobienia ich pożytecznymi obywatelami", lecz zupełne zrównanie żydów w prawach z resztą ludności proklamowanem zostało dopiero przez rewolucyjne zgromadzenie narodowe, na wniosek abbé Gregoire'a, poparty przez Robes-

pierra. Pod naciskiem idei rewolucyjnych, które razem z armjami francuskiemi przeszły po za granice Francji, padały barjery prawne między żydami i nieżydami prawie w całej kontynentalnej Europie: w Holandji, Belgji, księstwach niemieckich, Prusiech i Włoszech. Zaledwie jednak kontynentalna Europa zwyciężyła rewolucję, większość wpływowych państw z Austrją na czele spiesznie stara się przywrócić dopiero co obalone barjery. Reakcja polityczna przynosi dla żydów ponowne ograniczenia ich praw: ograniczenia te usunęła dopiero rewolucja 1848 roku. To samo powtórzy o się i z reakcją polityczną lat 50-tych. Równouprawnienie żydów zagwarantowane jest konstytucjami państw europejskich, ale każde zwycięstwo rządu nad swobodnemi instytucjami kraju, przynosi również klęskę dla emancypacji żydów. Walka rządów konserwatywnych z równouprawnieniem żydów ustaje wreszcie dopiero wówczas, gdy swobodne urządzenie Europy ustaliło się w latach 60-tych i 70-tych."

Autor szuka powodów tej judofobji u warstw rządzących i konserwatywnych i upatruje takowe po części w chrześcijańskiej nietolerancji religijnej, po części zaś w tem, że najlepsze, genjalne jednostki z pomiędzy żydów, wyrwawszy się ze swej ciasnej sfery, stawały prawie zawsze w szeregach opozycji politycznej i religijnej, a nieraz wprost były jej kierownikami. W ogóle zdaniem p. Chasina cała inteligencja żydowska była z natury swojej elementem opozycyjnym. Inteligencja ta z dawna dzieliła się na dwa odłamy: jeden złożony z ludzi, którzy z tych lub owych przyczyn oderwali się od życia umysłowego swego narodu i służyli niby jako reprezentanci żydowstwa w dziedzinie cywilizacji ogólno-europejskiej; drugi zaś składali ci. którzy byli niejako misjonerami tej cywilizacji pośród swoich, w postępie opóźnionych rodaków. Z wdzięcznością wreszcie wspomnieć należy i o takich mężach z pośród chrześcijan, jak Mirabeau, Montesquieu, Gregoire, Robespierre, Lessing, Macaulay i inni, którzy gorąco stawali w obronie równouprawnienia żydów.

Lecz oto wspólnemi usiłowaniami chrześcijan i żydów wywalczoną została emancypacja żydów. Jakież były jej skutki na byt społeczny żydów? Czy dobrobyt mas żydowskich podniósł się w skutek tego? Oczywiście, że nie. Lecz nie dość na tem. „Przed równouprawnieniem masy żydowskie żyły w ciemnocie, pod ferułą rabinów i cadyków — czy równouprawnienie wybawiło ich od tego ucisku? czy świadomość tych mas rozjaśnioną została światłem wiedzy europejskiej? Dość spojrzeć na materjalny i umysłowy stan żydów w Galicji i Bukowinie, by dać na te pytania odpowiedź wcale niepochlebną dla żydów."

Opierając się na książce prof. Plattera „Sociale Studien in der Bukowina", jakoteż na własnych obserwacjach i innych pracach o Galicji, p. Chasin konstatuje, że masa żydowska w tych krajach rozpada się na dwie części: stosunkowo nieliczną grupę bogaczy i wielką, przeważającą ilość proletarjatu, żyjącego w nieopisanej nędzy. „Z jednej strony nędza, z drugiej głośne żydowskie handlowe i bankowe firmy, bogaci żydowscy obywatele, którzy zaczynają wypychać magnata polskiego z jego odziedziczonych włości. „Żyd-dziedzic" — oto jest nowe zjawisko w dziedzinie materjalnego rozwoju, spłodzone przez emancypację. A jakimi sposobami żydzi czasem stają się dziedzicami, to zobaczymy, przypatrzywszy się głównym rodzajom ich zajęć, głównym źródłom ich bytu materjalnego.

Iwan Franko.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CHICAGO.

Ogłoszony świeżo program uroczystego otwarcia wystawy kolumbowej w d. 1. Maja, nie jest bynajmniej tak urozmaicony, jakim był obchód jubileuszu kolumbowego i inauguracja gmachów wystawy w październiku r. z. Obecny obchód ograniczy się do mowy, wypowiedzianej przez prezydenta Clevelanda, który naciśnie sprężynkę motoru ,mającego w ruch wprawić wszystkie machiny i w towarzystwie dyrektorów zwiedzi 13 wielkich budowli, mieszczących w sobie tyleż oddziałów wystawy.

Nie wygasło jeszcze uczucie zazdrości, jakiem zapłonęły inne miasta unji w dniu, kiedy się dowiedziano, że Chicago wybrane zostało przez kongres na miejsce wystawy wszechświatowej. Odznacza się swą niechęcią głównie New-York, w obawie, ażeby młoda metropolja zachodu nie wydarła mu z rąk monopolu i handlu zagranicznego, zwłaszcza po wystawie, w czasie której stosunki bezpośrednie zawiążą się między Chicago a Europą. Boston, Filadelfja, Baltimore, oddawna już kapitulowały. przyznawszy, że Chicago je wyprzedziło, i zajęło drugie z rzędu miejsce pomiędzy miastami unji.

Szczęśliwe geograficzne położenie miasta tłomaczy jego wzrost fenomenalny i usprawiedliwia wybór pod wystawę powszechną. Centralne to położenie wśród lądu północno-amerykańskiego, z bogatą doliną Missisipi z jednej, dogodną kumunikacją wodną pięciu wielkich jezior z drugiej strony, sprawiły, że ruch handlowy stał się tu olbrzymim i wzrastać będzie z dniem każdym, w miarę zaludniania się sąsiednich urodzajnych stanów, mających klimat umiarkowany i obfitujący we wszelkie dary przyrody. Wielkie linje kolejowe, w liczbie 27, zbiegają się w Chicago, które jest ogniskiem wymiennego handlu między pobrzeżem atlantyckiem o bardzo posuniętej cywilizacji, a półdziką i mało jeszcze wyeksploatowaną zachodnią połową unji, z niezmierzoną przestrzenią bujnych łąk, pastwisk i pokładów mineralnych.

Przemysł fabryczny doszedł również w Chicago do wysokiego stopnia rozwoju. Liczbę fabryk chicagoskich podają na 3500. W ich rzędzie wymienić należy słynne warsztaty dla budowy wagonów Pullmana, fabryki żniwiarek i w ogólności narzędzi

rolniczych Mac-Kormicka, odlewnie stali Tow. akcyjnego na South-Chicago, przy których większa część robotników składa się z Polaków. Odznacza się wreszcie Chicago słynnemi bójniami i peklowniami na Union-Stock-Yards. Targowisko żywego inwentarza, największe na świecie, ciągnie się na przestrzeni czterech wiorst kwadratowych; w roku zeszłym sprzedano na niem 8,643.195 sztuk nierogacizny, 3,247090 bydła, 2,125176 owiec. Dokoła tego olbrzymiego targowiska mieszczą się sławne peklownie, które głównie przyczyniły się do szybkiego wzbogacenia się miasta i które rozsyłają na świat cały, solone, lub w stanie świeżym zamrożone, produkty mięsne. Cztery naczelne firmy, zajmujące się tym handlem są: Armour, Swift, Morris i Towarzystwo anglo-amerykańskie. Sam Armour bije dziennie w przecięciu po 15000 sztuk nierogacizny, a widowisko tej rzezi należy do wybitniejszych ciekawości dla osób, zwiedzających po raz pierwszy Chicago. Dom ten zakupuje rocznie za siedmdziesiąt miljonów dolarów inwentarza. Nadmieńmy, że Towarzystwo akcyjne Stock-Yards (targu inwentarzowego), oprócz opłaty, pobieranej za postój i przekarmienie zwierząt, przywiezionych na sprzedaż, ciągnie znakomite także zyski z wymiany wagonów między kolejami za opłatą od wagonu po 40 centów (około 95 ct. w.a.), gdyż plac ten stanowi niejako centralną stację dla całej sieci kolei żelaznych Ameryki środkowej. Ogółem, obroty handlowe miasta Chicago wyniosły w roku ubiegłym dwa miljardy dolarów, gdy obrót chicagoskich banków doszedł do kolosalnej cyfry czterech i pół miljarda dolarów. W roku 1892 przywieziono 229,490.158 buszli zboża do Chicago, które posiada około czterdziestu żelaznych elewatorów, tak pomysłowo urządzonych, że w ciągu pięciu godzin można każdy z nich naładować lub wypróżnić. Giełda zbożowa przedstawia codziennie widok jedyny w swoim rodzaju, niemożliwy do określenia. Krociowe sumy przechodzą z rąk do rąk przy najmniejszem chwianiu się cen, aczkolwiek obecna nizka cena pszenicy, po 76 centów za buszel (miara objętości=35·24 litr.) nie sprzyja wcale spekulacji. Po bokach sali giełdowej, setka telegrafistów, siedzących przy aparatach, rozsyła rozkazy spekulantów po krańcach ziemi. Według systemu, przyjętego ogólnie w Ameryce, wstęp do sali mają tylko członkowie stowarzyszenia giełdowego, publiczności zaś wolno jedynie z galeryj przypatrywać się wściekłej grze na produkty rolne.

Chicago, z półtoramiljonową ludnością, rozłożyło się na obszarze 180 kwadratowych mil angielskich, u ujścia rzeki tegoż imienia do Michiganu i posiada we wnętrzu swem, w swym obrębie dwa wielkie tory wyścigowe, tudzież 11 parków, pokrywających 2123 akrów gruntu. A z dniem każdym wznoszą się nowe domy, powstają instytucje nowe, tworzą się przedsiębiorstwa wytwórcze na ogromną skalę. Na budujący się nowy uniwersytet zebrano w ciągu lat dwóch ze składek publicznych sześć i pół miljonów dolarów, do których jeden p. Jan Rockefeller, właściciel źródeł naftowych w Pensylwanji, przyłożył się w sumie 2,200.000 dolarów, a p. Yerkes, prezes chicagoskiego towarzystwa tramwajów łańcuchowych w sumie pół miljona dolarów.

Środek miasta, czyli City, do którego schodzą się głównie drogi żelazne, przecinające ulice przedmieścia bez żadnych nasypów, odznacza się niezwykłą wysokością domów z magazynami i biurami. Pięter 16 lub 18 w takich domach — to już rzecz prawie zwyczajna. Gmach loży masońskiej posiada tych piąter 25. Każdą z takich kamienic obsługuje po kilka wind parowych. Ma się rozumieć, że od tylu fabryk, lokomotyw i machin parowych, powstaje dym niesłychany, który stałby się istotnie nieznośnym, gdyby nie silne wiatry, dmące bez ustanku od jeziora i oczyszczające nieco powietrze.

Do obecnego stanu pomyślności doszło Chicago niespełna w ćwierć wieku. Założone w roku 1837, z czterema tysiącami mieszkańców, posiadało już w roku 1881 nie całe trzykroć sto tysięcy. Wówczas zgorzało doszczętnie; zostało nietkniętych zaledwie kilka skrajnych rąbków na przedmieściach. Pomimo wszakże niezaprzeczonej swej świetności, Chicago zawiera wiele nędzy, z powodu nadmiaru napływającej tu wciąż ludności roboczej. Zarobki, jak wszędzie w stanach, są wysokie, zwłaszcza w fabrykach; wynoszą one od 10 do 18 dolarów tygodniowo. Utrzymanie natomiast jest drogie, a wymagania pracodawców nader wygórowane. Zauważyć należy przy sposobności, że najgorzej wychodzą przybywający tu z Europy ludzie, nieprzywykli do pracy ręcznej, fizycznej, a wyobrażający sobie, że ogładą, lub wytwornem wychowaniem zaimponują Amerykaninowi. Tacy najczęściej giną marnie. W Ameryce, bardziej niż gdzieindziej istnieje przeładowanie w zawodach wyzwolonych, a walka o byt sroży się bezwzględna i nieubłagana. Popyt na pracę istnieje, ale tylko na pracę najprostszą, ręczną, wyrobniczą. Najlepszym tego dowodem fakt, że w tej chwili, w pewnej miejscowości Kalifornji służą równocześnie za pasterzy bydła jeden baron niemiecki i jeden radca tajny, z pochodzenia podobno Szwed, czy Finlandczyk. Niech się więc rozstaną z urojeniami ci wszyscy, co marzą o karjerze w Ameryce, bez ciężkiego fizycznego trudu. Wszak sami Amerykanie, ilekroć ich szczęście w spekulacjach zawiedzie, wracają zawsze, gdy zdrowie jeszcze służy, do rydla i motyki, udając się najzwyklej do kopalni Far-Westu.

Oryginał z Piskorzewa

powiastka Junoszy.

(Ciąg dalszy.)

— Czegoż chciał od rabina i od żydów?

— Aj panie prezydencie, on mówił, że Berek, ten głupi obdarty Berek, ten warjat, to jest wstyd dla rabina, dla kahału, dla całego miasta, że on nie powinien być ani obdarty, ani zmarznięty, ani głodny, bo to jest dla nas, niby dla wszystkich

żydów fe! Kahalni powiedzieli. że nie ma na to pieniędzy — a on wyjął z kieszeni pięćdziesiąt rubli. oddał rabinowi i powiedział, że to na ubranie dla Berka.. a potem wcale nic nie mówił. tylko sobie poszedł...

— Warjat, czysty warjat!..

— I mnie się tak zdaje, ale on miłosierny jest. Rabin długo siedział i nic nie mówił, myślał tylko i wzdychał, potem kazał zawołać szewca, krawca i taką kobietę co bieliznę szyje, - no i za parę dni, obaczy pan prezydent, nasz warjat będzie wyglądał jak najporządniejszy kupiec!..

— Poznał swój swego...

— Może być... ale to jeszcze nie koniec; ja się dowiedziałem o nowej sprawce pana Dezyderego...

— No, no...

— Że on naszego warjata ubrał, to nie jest wielki grzech, bo kto na tem straci, kto do tego dołoży, że głupiemu Berkowi będzie ciepło, ale on chce ubrać pana prezydenta.

— Mnie!

— Chce ubrać całe miasto, nas wszystkich!

— Nie gadaj!

— Aj, aj, żebym ja też miał takie długie życie i szczęście, jak to prawda... On chce zrobić źle dla żydów, dla mieszczan — i na co jemu to? niech ja wiem, co jemu z tego przyjdzie?!

— Ale cóż zamierza!

— On niedobrze zamierza.. On chce zrobić komisje...

— Co?

— No, czy ja nieprawdę powiadam, ledwie wymówiłem to słowo sam pan prezydent się przestraszył — a co dopiero obywatele!. My przecież jesteśmy tutejsi urodzeni i nie znaliśmy żadnych komisji. Nasi dziadkowie, nasi ojcowie nie znali, a on chce...

— Ale cóż właściwie chce, do miljon!.. — zawołał burmistrz, który już zaczął tracić cierpliwość, — gadaj-że co chce, zkąd się dowiedziałeś? może to tylko głupia plotka...

— Żebym ja miał tyle pieniędzy, ile prawdy w tej plotce... na moje sumienie!.. a zkąd ja się dowiedziałem, co panu do tego, dość że wiem, a jeżeli pokaże się, że to nie jest prawda, to niech pan prezydent nazwie Mordkę cyganem. Pan Dezydery już cały tydzień buntuje naszego doktora...

— Koniec świata! na cóż mu doktór?!

— Na co? on chce, żeby u nas była komisja.

— Zwarjował!...

— On chce, żeby obywatele zamiatali ulice, żeby wywozili śmiecie, żeby płacili składki na studnie, żeby bielili swoje chałupy... aj, czego on nie chce!.. On chce, żeby rzeźniki byli zgubione, żeby nie rżnęli chorego bydła, nie sprzedawali takiego mięsa, co trochę zepsute jest... żeby musieli utrzymywać jatki porządniej niż własne izby na wielkanoc. On chce żeby szynkarze byli zgubione, żeby sprzedawali trunki bez dodatków, a czy to można na dzisiejsze czasy?.. Teraz chłopi tak zdelikatnieli, że chcą mieć wódkę jak ogień.. On chce żeby piekarze byli zgubione, chce im zrobić kontrolę!... On chce całe miasto zgubić, chce żeby pan prezydent miał pisanie, a my wszyscy zniszczenie! Ja sam mam pół domu nad wodą, ten dom nie daje mi nic, tyle że mieszkam i podatek zapłacę — jak komisja każe zamiatać i śmiecie wywozić, to zkąd ja wezmę na miotły? czem zapłacę taką babę co zamiata i takiego chłopa co wywozi? To będzie zguba miasta, zniszczenie, upadek... wszyscy obywatele z torbami pójdą... a przez kogo? przez jednego człowieka, który sam nie wie czego chce.

— I cóż na to doktór?

— Co doktór może?! Wiadomo panu, że nasz doktór też jest obywatel, tyle lat żyje między nami bez komisji sanitarnej, to zapewne musi sobie miarkować, że dożyłby i do śmierci bez takiego interesu, ale jemu, jako doktorowi, nie wypada powiedzieć, że taka komisja jest niepotrzebna.

— Ma się rozumieć... to prawda...

— Ja zawsze tylko prawdę mówię. Doktór zrobi to, co pan Dezyry zechce, cała nadzieja w obywatelach. Oni nie przystaną na żadne nowości. Ja już puściłem w kurs tę wiadomość i nasze żydki śmieją się i kiwają głowami, a mieszczaie już wypili kilka garncy wódki ze zmartwienia i odgrażają się... Matka dziecka nie będzie tak broniła, jak oni swoich śmieci i starych porządków...

— Co to pomoże... jak doktór będzie chciał, to ja muszę przedstawienie zrobić, a wasza opozycja tyle znaczyć będzie, co zeszłoroczny mróz.

— Nu, panie prezydencie, kto wie, może jeszcze nasze żydki co wymyślą... Dla czego niemają wymyśleć? mądrych głów w Piskorzewie Bogu dzięki nie braknie.

Kupno placu, datek dla Berka warjata, wreszcie pomysł komisji sanitarnej, przechyliły ostatecznie szalę.

Opinia publiczna miasta Piskorzewa uznała pana Dezyrego za warjata. Trzeba oddać jej sprawiedliwość, że wahała się długo. na tę i na tę stronę, jak rozbujana huśtawka i że wydała wyrok na podstawie faktów sprawdzonych, dowiedzionych.. które razem wzięte tworzyły istny bigos psychopatyczny.

Dwie tylko osoby z inteligencji Piskorzewa nie oświadczyły się stanowczo za wyrokiem: pan sekretarz i regentowa. Pierwszy po namyśle orzekł, że można sądzić i tak i tak, stosownie do okoliczności; druga zaś, jako oponetka z zasady, lubiła płynąć pod prąd i kiedy Dezyderego miano za rozumnego człowieka, dowodziła, że jest skończony warjat; a gdy go okrzyczano warjatem, powiedziała z całą stanowczością:

— Przepraszam, ale to jeszcze nie dowiedzione.

Doktór nie wyjawił swego zdania i milczał, choć go nieraz pytano, aptekarz zaś nie krępował się wcale... i głosił publicznie, że Dezydery jest *„mente captus“*. Dopiero, gdy skutkiem pożaru apteki, zacny farmaceuta znalazł się w położeniu bez wyjścia, a pan Dezydery sam się zgłosił i przyszedł mu z po-

mocą, wtenczas złagodził znacznie swój sąd i przy każdej sposobności mówił do znajomych...

— *Mente captus* jest, bo jest — ale miewa niekiedy *lucida intervalla...*

. . . .

Z wiosną, na plac, który tak gorąco pragnął nabyć szanowny Symcha Grünbaum, zaczęto zwozić materjały budowlane. Przyjechał budowniczy, majstrowie i rozpoczęła się robota.

Pan Dezydery pieniędzy nie żałował, to też budynek wzrastał niemal w oczach, a mieszkańcy Piskorzewa zastanawiali się nad jego osobliwym kształtem i nie mogli dociec na jaki użytek taki gmach mógł być przeznaczony? Ani to bożnica, ani koszary — cóż więc?

Istotnie, jeszcze w Piskorzewie nikt tak okazałego domu nie widział, chociaż w rynku były cztery kamienice murowane piętrowe i kilkadziesiąt domów drewnianych z facjatkami, a na bocznych ulicach około dwustu domków, nie różniących się niczem od chłopskich chałup po wsiach.

Nawet willa pana Dezyrego straciła na uroku wobec nowego budynku.

Stał on na podmurowaniu, był bardzo wysoki, o pokojach ogromnych, zaopatrzonych w wielkie weneckie okna. Widniej w nim było, niż na rynku, przestronniej niż w bożnicy, a ładniej... no nie ma takiego miejsca w Piskorzewie, w którem byłoby ładniej.

I na co jemu taki gmach, postawiony kosztownie, z wyborowych materjałów, z białemi ścianami, sufitami i posadzką, kryty blachą, malowany na zewnątrz olejno; pochłonąć musiał nie mało pieniędzy, a jaki dochód może przynieść? nic.

Rzeczywiście, tylko człowiek nie mający władz umysłowych w porządku, może takie zbytki wyrabiać...

Ale na domu nie koniec: cała posesja ogrodzona została z frontu wysokiemi sztachetami, z tyłu zaś solidnym, mocnym parkanem; w podwórku wybrukowanem, zaopatrzonem w ściek, stanęły zabudowania gospodarskie, poza niemi zaś pozostałą przestrzeń placu skopano, uregulowano i urządzono na niej ogród.

Pan Dezydery pieniędzy nie żałował, to też wszystko szło niesłychanie prędko...

Czemuż ten pośpiech?

Gubili się ludzi w domysłach, jakie przeznaczenie ma otrzymać nowy budynek?.. Żydzi przypuszczali, że będzie to chyba zakład publiczny, z bilardami, rodzaj austerji, czy zajazdu; mieszczanie znów twierdzili, że albo magistrat znajdzie w tym domu pomieszczenie, albo koszary wojskowe; inteligencja zaś mniemała, że budynek wzniesiony jest specjalnie na teatr amatorski, że w nim odbywać się będą zabawy publiczne, koncerta, lub przedstawienia sztuk magicznych.

Pan Dezydery na pytania odpowiadał wymijająco.

— Przedewszystkiem — mówił — chcę postawić porządny dom, a co z nim zrobię — zobaczycie, cierpliwości tylko...

Cierpliwości! dobre dla cierpliwych, ale nie dla ciekawych.

Doktór twierdził, że ten dom przydałby się na szpital, pan sekretarz, że na urząd rekrucki.

Regentowa nie mówiła nic, ale uśmiechała się w sposób mogący dać dużo do myślenia.

Ta musiała coś wiedzieć, ale co?

Jednocześnie prawie zdarzyły się dwa fakta, które zwróciły na siebie uwagę powszechną. Do regentostwa przyjechała w odwiedziny na czas dłuższy siostra pani regentowej, osoba jeszcze młoda, wdówka, bardzo przystojna, bardzo dystyngowana i elegantka pierwszej wody, a pan Dezydery ciężko zachorował. Te fakta na pozór nic wspólnego z sobą niemające, łączyły się jednak ze sobą, a i jeden i drugi stał się przedmiotem uwagi powszechnej i materjałem do rozmaitych komentarzy. (C. d. n.)

Z ruchu literackiego.

Kazimierz Tetmajer: *Mąż-Poeta*, fragment dramatyczny w 1 akcie. Lwów 1893.

Młody poeta, którego pierwsze kwiaty twórczości zmroziła obojętność „publiki“, odwracającej się od wierszowanej formy, nie zrażony tem, rzucił na pstrokate tło Melpomeny dwa utwory, z których jeden p. n. „Sfinks“, znaczący nachylenie poety ku symbolistom, zwrócił uwagę krytyki literackiej, drugi zaś, wymieniony w tytule, a grany niedawno na scenie krakowskiej, zasługuje na chlubne wyszczególnienie.

Misternie rzeźbiony djalog opowiada czytelnikom o miłości i przekomarzaniach się młodego małżeństwa podczas miodowych miesięcy. Lekkie chmurki nieporozumienia, zasłaniające jasny zresztą horyzont ich stosunku, ustąpić muszą rychle przed gorącemi promieniami wzajemnej ich miłości. Pod sam koniec djalogu podnoszą się opary romantyki i niby łabędzie śpiewne spływają na jeziora toń czystą i cichą... nadając uroku całej symfonji poety, który lekkiem dotknięciem klawiszów zdradza i tutaj swój artyzm! *H. B.*

Edward Jelinek. Zakopane v polskych Tatrach. V Praze. F. Simaček, 1893, str. 36.

Do wielu powodów wdzięczności dla szlachetnego przyjaciela naszego narodu, Edwarda Jelinka, przybywa nam nowy, za książeczkę pod powyżej wymienionym tytułem. Z właściwym sobie talentem opisuje szanowny autor najbardziej uroczy zakątek naszego kraju, ciepłem i barwnem słowem kreśląc sylwetki ludzi, którzy go zamieszkują. Wymowne słowa Jelinka dopełnia ołówek Witkiewicza i Eljasza. Żywą przyjemność, jakiej doznaje czytelnik polski, przeglądając pracę czeskiego autora, pogłębia myśl, że opis i widok majestatycznych naszych gór, strojnych w szrony i w blaski słoneczne, w ciemne świerki i srebrne, rozgadane potoki; gór, które zamieszkuje piękny, inteligentny, świadomy swej godności ludzkiej lud, trafi do serca drogich pobratymców i ogrzeje je żywszą jeszcze dla nas sympatją.